

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

UBOGA WDOVA.

Zbogacon łupami wojny,
Ozdobiony wieńcem chwały,
Przedsięwziął pan bogobojny
Wzniesć Bóstwu kościół wspaniały.

Ledwo piękna myśl błysnęła,
Natychmiast miejsce zakreślił,
Rąco bierze się do dzieła,
Zamienił w czyn, co zamyslił.

Piękna praca! zewsząd do niej
Tysiące się ludu zbiega;
Turkot wozów, tętet koni,
I huk młotów się rozlega.

Jak laską zaczarowaną,
Wydarte z głębi natury,
Z szybkością nieporównaną
Piętrzą się wspaniałe mury.

Ucieszon postępy tymi,
Nagroda bogacz zachęca
I chlubi się przed wszystkimi,
Jak wiele Bogu poświęca!

W ustroni wdowa uboga,
Okryta odzieżą lichą,
Widząc gmach na chwałę Boga,
Łzę tylko ronila cichą.

Tylko się jej myśli wiły
O kościele i o złocie;
Lecz w niezgodzie z chęcią siły
Krajały serca sierocie.

Bóg, co myśli widzi skryte,
Serce nad wszystko ocenia,
Pociesza biedną kobietę,
Pobożne wieńczy pragnienia.

Spuścił na nią sen przyjemny;
Błysk otworzył niebios podwoje,
Z głębi zabrzmiał głos tajemny:
„Bóg serce przeniknął twoje!

Chcesz woli dopełnić Pana
I pomnożyć chwałę Boga,
Kup dla wołów wiązkę siana,
Co na kościół cegłą wozą“.

Wstaje ze snu przebudzona,
Tkwi jej w myśli wola Pana;
Biegnie, biegnie ucieszona
I kupuje wołom siana.

Znowu z nieba głos słyszano;
Aż się ziemia trzęsła cała:
„Milsze Bogu twoje siano,
Niż ta świątynia wspaniała“.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy).

Dzień był pogodny, lekki wiaterek muskał twarz Jasia, który uśmiechnięty z radością wodził oczyma po modrych falach.

Tymczasem pan Kaliński mówił:

— Ta przestrzeń wód żywi tysiące ludzi. Szczęśliwe są krainy nadmorskie, albowiem mają otwarte wrota do handlu z całym światem.

— Który port najbliżiej leży od wioski moich dziapuniów? — zapytał nagle Jasio.

— Gdańsk — odparł pan Kaliński — tuż przy ujściu Wisły do morza Bałtyckiego. Piękne to miasto, handlowe, starożytne, dziś w rękę Niemców.

I podobnie gawędząc, szczęśliwie odbyli wycieczkę i zadowoleni wrócili do hotelu.

— Chciałbym zwiedzić jakieś góry mniej znane, ot, na przykład góry w Czechach — rzekł, siedząc przy stole pan Kaliński do Jasia, — Jedli obiad i układali różne projekty podróży.

— Ach, mój Boże, jakże jabym się z tego cieszył — mówił Jasio, uradowany, że znowu zobaczy coś nowego.

Jakoż pan Kaliński postanowił jechać do źródeł Elby, gdzie widoki miały być bardzo malownicze.

W dwa dni później byli już w drodze, kierując się ku krainie czeskiej.

Gdy do Czech przybyli, wyruszyli pewnego dnia w góry w towarzystwie przewodnika.

Podczas tej wycieczki pan Kaliński opowiadał, że rzeka Elba, u Słowian zwana Łabą, jest największą rzeką w północnych Niemczech, i że ma źródło w Czechach, na południowym stoku gór Olbrzymich czyli Riesengebirge. Jaś zapamiętał to wszystko doskonale.

Dla uniknięcia upału wybrali się na tę wycieczkę wczesnym rankiem. Słońce tylko co wstało i ukośnymi promieniami przedzierało się przez pnienie drzew, rozpalając iskry brylantowe w kropelkach rosy lśniącej na ziołach i trawach. Wyżej ku wierchołkowi góry drzewa ustępowały miejsca krzewom i krzakom karłowatym, a jeszcze wyżej rosły mchy i rozmaite drobne roślinki. Wreszcie do uszu naszych podróżnych doszedł daleki odgłos szumu wody, i wkrótce przed zdumionym wzrokiem pana Kalińskiego i Jasia rozciągnął się czarujący widok.

Znajdowali się na wielkiej wyniosłości, lecz ponad nimi góra wznosiła się jeszcze wyżej.

Splywało ztamtąd mnóstwo drobnych potoków łącząc się poniżej w dwa wielkie strumienie. Jeden strumień nazywa się Biała woda, a drugi

Elbebach albo Elbeseifen; ten ostatni tworzy właśnie wspaniałą wodospad.

Masa wód z wysokości dwustu stóp rzuca się w głęboki, malowniczy wąwóz; biaława piana pokrywa fale i wraz z nimi rozpryskuje się o skaliste ściany wąwozu.

Woda, spadając z takiej wysokości, rozpyla się na atomy, które jakby lekką, gazową obłonką otaczają wodospad.

Promienie słońca rozpalają tęczowe blaski na falach, podobnych do roztopionego srebra. Jakież dziwny urok świeżości wieje od tych wód kryształowych. Gra barw i światła, szum wody, majestatyczny widok spienionych fal, niknących w dżim parowie, wszystko to tworzy widok, od którego trudno się oderwać.

Podróźni nasi stali długo zapatrzeni w prześliczny krajobraz, wstuchani w groźną harmonię szumu wód. Nie zdawali sobie sprawy z upływającego czasu, dopiero przewodnik przywołał ich do rzeczywistości, gdy zapytał:

— A może panowie się już dosyć napatrzili? Pójdźmy obejrzeć co innego.

Zaczęli teraz schodzić w dół wąwozu, po kamieniach i odłamkach skał, oślizgłych od wilgoci.

Pan Kaliński podtrzymywał Jasia, bojąc się aby chłopiec nie wpadł do wody. Wreszcie znaleźli się na połowie wysokości wodospadu, w miejscu, gdzie woda zakreślała łuk olbrzymi. Pod wodospadem skała tworzyła 'wkłęsłość', była to jakby niewielka pieczara. Do tej to pieczary przewodnik wprowadził naszych podróżnych. Miły chłód i łagodny półcień wywołały w nich rozkoszne uczucie. Przed nimi spływała ruchoma zasłona fal, które przepuszczając promienie słońca z zewnątrz, przybierały wszystkie barwy tęczy. Przed ich oczami wciąż świeża przepływała fala.

— Ach, jak tu ślicznie, jak chłodno! powtórzał Jaś z zachwytem — chciałabym tu przesiedzieć dzień cały.

Lecz było to życzenie niemożliwe do spełnienia, należało wracać, aby się czemś posilić. Jasio z niechęcią zabierał się do powrotu, a wyszedłszy, jeszcze się oglądał za grota.

Przewodnik pokazał im jeszcze łączące się poniżej dwa strumienie, które tworzą dopiero rzeczywistą Elbę, a pan Kaliński objaśniał Jasia, że ta rzeka przepływa Czechy i Saksonię.

Pan Kaliński i Jasio tak byli zachwyceni tą wycieczką, że postanowili jeszcze raz udać się do źródeł Elby, skoro tylko odpoczną po trudach pierwszej wyprawy.

Dobry opiekun Jasia przeznaczył parę tygodni na wycieczki w góry, i w tym celu zamieszkał z Jasiem w małej, górskiej wiosce, niedaleko wodospadu Elby.

Pewnego dnia pan Kaliński zbudził Jasia o

wschodzie słońca. Chłopezyk zerwał się żwawo ze snu i wkrótce był gotów do wyjścia.

— Przewodnik zaprowadzi nas dziś do innej miejscowości, gdzie chciałbym trochę malować — rzekł pan Kaliński do Jasia — musisz więc nieść koszyczek z posiłkiem, bo posiedzimy może do wieczora. Pragnienie będziemy mogli ugasić dowolnie wodą źródlaną, bo tam jej w górach nie brakuje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Szklanna góra.

Na wysokiej szklanej górze stał zamek cały złoty, a przed zamkiem była jabłoń, na jabłoni złote jabłka. Ktoby złote jabłko urwał, wszedłby do złotego zamku, a w srebrnej jednej komnacie ukryta była królowna zaklęta, dziwnej urody. Miała ona skarby niezrachowane, piwnice pełne drogich kamieni, i w izbach zamku skrzynie ze złotem.

Wielu się zbiegało rycerzy od dawna, lecz na próżno usiłowali wdrzeć się na tę górę. Na koniu ostro podkutym nie jeden darł się daremnie i z połowy stromej góry z ciężkim szwankiem spadał. Łamali ręce, nogi i karki!

Piękna królowna z jednego okna patrzyła z zalem jak próżno tacy rycerze dorodni na dzielnych koniach darli się w górę! Widok królownej zagrzewał serca. Zbiegali się zewsząd ze czelech stron świata, a biedna dziewczina już lat siedem daremnie wyglądała zbawcy!

Niemają leżało trupów, rycerzy i koni w okolo szklanej góry; wielu konających z połamaniem żebrami, boleśnie stękało. Był to cmentarz prawdziwy!

Już rok siódmy za trzy doby miał się skończyć; gdy w zbroi rycerz nadjechał pod stromą górę. Rozpedził konia, wdarł się w pół góry z podziwem wszystkich, którzy patrzali, i nazad wrócił szczęśliwie. Nazajutrz, równo ze świtem, znowu, gdy mu się pierwsza udała próba, rozpedza swego rumaka: stąpa po górze jako po ziemi, iskry z podkowy błyskają; patrzą zdziwieni wszyscy rycerze — już blisko wierzchołka góry. Niedługo spojrzą znowu, aż on stoi pod jabłonią.

— Wtem się wielki zrywa sokół, zaszumiał skrzydłem szerokim i uderzy konia w oczy. Rumak parska, nozdrza wzdyma i najerza gęstą grzywę; stanął dęba wystraszony, nogi mu się oślizgają: pada z rycerzem, porysował szklaną górę; a z rumaka i rycerza nie zostały tylko kości, co brzęczały w zbitej zbroi, jako suchy groch w pacherzu.

Siódmy rok się jutro kończył, a nadchodził żak (student) urodny, młody, silny i wysoki. Patrzył jak rycerzy wielu łamie karki nadaremnie; podchodzi pod ślizgą górę i bez konia się gramoli. — Już od roku słyszał, będąc w domu jeszcze, o królownie co zaklęta, w złotym zamku siedzi na wierzchołku góry szklanej. Poszedł przeto do lasu, zabił rysia i pazury ostre, długie przypisał sobie do rąk i do dwóch nóg przymocował.

Taką bronią opatrzony, darł się śmiało na garb szklany: słońce było na zachodzie, żak w połowie drogi ustał: zmęczony ledwie oddycha, pragnienie spiekło mu wargi: Czarna chmura nadpłynęła, próżno błaga i zaklina, by choć kroplę uroniła. Napróżno otwierał usta! chmura czarna przepłynęła, ani rosa nie zwilżyła warg spieczonych jak skorupy.

Pokaleczył krwawo nogi, rękoma się tylko trzyma. Słońce zaszło — patrzy w górę, aby dojrzał jej wierzchołka: musiał tak zadzierać głowę, że mu barania czapka spadała. Spojrzył na dół, straszna przepaść: tam śmierć pewna i niechybna! Z przegnitych trupów smrodliwe ścierwy zaduszały oddech czysty: były to szczątki zuchwałej młodzieży, co się darli jak on tutaj.

Już mrok ciemny, gwiazdy blado oświecały szklaną górę; a żak młody, jak przykutą, na skrwawionych rękach wisi. Wyżej drzeć się już nie może, bo wyczerpał wszystkie siły: sam nie wiedząc co począć, wyciągniony czeka śmierci. Nagle sen mu skleił oczy, zapomina kędy leży, strudzony smacznie usypia; lecz choć we śnie ostre szpony tak głęboko w szkło zapał, że przespał się do północy, nie zleciawszy z owej góry.

Złotej jabłunki piłował sokół, co zrzucił z koniem rycerza: zawsze w nocy jak czujny strażnik oblatwał górę w okolo. Zaledwie miesiąc wyszedł z za chmury, uniósł się z jabłoni i krążąc w powietrzu, zobaczył żaka.

Łakomy ścierwu, pewny, że trup świeży, spuszcza się nagle i siada. Lecz żak już nie spał, dojrzał sokoła i postanowił z jego pomocą uratować się z tej góry.

Sokół zapuścił szpony ostre w ciało: młodzian wytrzymał ból mężnie i uchwycił za nogi ptaka; ten przestraszony uniósł go wysoko nad zamek i począł krążyć w okolo wysokiej wieży. — Żak krzepko się trzymał: patrzył na lśniący zamek, co przy bladych promieniach księżyca świecił jak lampa; patrzył na okna wysokie, migające różnobarwną ozdobą, a na ganku siedziała

śliczna królewna, zatopiona w myślach, dumając nad swoją dolą. Widząc, że blisko leci jabłoni, dobył z za pasa kozika i obiedwie odciął nogi sokołowi. Ptak zerwał się z bólu wyżej i znikł w obłokach, a młodzieniec spadł na szerokie galezie jabłoni.

Wtedy dobył szpony sokole, ugrzęzłe wraz z szponami w ciele, a skórkę złotego przyłożywszy jabłka do ran skaleczonych, wnet wygoił wszystkie. Narwawszy pełne kieszenie złotych jabłek, wchodzi śmiało do zamku: przy bramie zatrzymuje go smok wielki; lecz zaledwie rzucił nań jabłko, smok skoczył w fosę i znikł.

Zaraz się wielka otworzyła brama, zobaczył podwórzec pełen kwiatów i drzew ślicznych, a na wysokim ganku siedziała zaklęta piękna królewna wraz z dworem swoim.

Ujrawszy dorodnego młodzieńca, zbiegła ku niemu, witając w nim pana i męża. Wszystkie mu skarby oddała, a żak młody został wielkim i bogatym panem: na ziemię wszakże już nie powrócił, bo wielki sekół, co był strażnikiem zamku tego i samej królowej, mógł tylko zamek i skarby na skrzydłach swoich na ziemię przenieść. Lecz kiedy nogi postradał, w pobliższym lesie, na szklannej górze, znaleziono jego zwłoki.

* * *

Gdy raz z królową, a żoną swoją chodził po ogrodzie zamku, spojrzął na dół i widzi z podziwem, że się mnóstwo ludzi zbiera. Świsnął więc w piszczalną srebrną a jaskółka, co służyła za posłańca w złotym zamku, nadleciała.

— Idź się dowiedz co nowego — rzekł do małej ptaszynki.

I jaskółka szybko leci, wkrótce wraca i powiada:

— Krew z sokoła ożywiła martwe zwłoki: wszyscy co poległ pod tą górą, wdzierając się na nią zuchwale, wstali dziś jakoby ze snu, dosiadają rzeźwe konie a lud cały, dziwnie zdjęty, patrzy na cud niesłychany.



ŁAMIGŁÓWKI,

I.

SZARADA.

Pierwsze to samogłoska, drugie zaś na stole,
W liczbie przypraw z łatwością poznacie w rosale,
Objęty zwykle jednym wyrazem: włoszczyna.
Wszystko wraz brzydka wada, to już każdy przyzna.

Redaktor odpow. w zastępstwie Wojciech Wróblewski w Gdańsku. Drukiem i nakładem Pałagii Pałędzkiej w Gdańsku.

II.

ZAGADKA.

Jestem sobie gospodyni,
Co na przyszłość zapas czyni;
Ludzie lubią moje zbiory,
Dzieciom dają nas za wzory.

III.

SZARADA.

Kto pragnie, by do celu list doszedł bezpiecznie,
W pierwsze z czwartem opatrzyć musi je koniecznie.
W Niemczech pierwsze z czwartem jest w wiek-
[szej cenie,

Bo niemi każdy chętnie nabija kieszenie.
Trzecie z drugim pożytku niemało przyczynia,
Spajając metalowe rury i naczynia.
Wszystko wraz, oceanu patrzące prądem,
Jest wyspą w Ameryce, pod francuzkim rządem.

IV.

Na miejsce punktów postawić stoła tak, aże-
by litery na miejscu gwiazdek, czytane z góry
do dołu, oznaczały imię męskie.

* * *
* * *
* * *

Znaczenie wyrazów:

- 1) Miejsce gdzie żyli Adam i Ewa.
- 2) Rzeka w Azji.
- 3) Bóg starożytnych Greków.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 3

I.

- 1) Słowo.
 - 2) Łup.
 - 3) Owoc.
 - 4) Waga.
 - 5) Astronom.
 - 6) Ciecz.
 - 7) Krzew.
 - 8) Imię,
- SŁOWACKI.

II.

Mo — ty — le.

Ce — bu — la.

